ks. Krzysztof Pawlina

Akcja Katolicka wobec znaków czasu

20 czerwca 2025 – Jasna Góra

Drodzy Księża,
Szanowni Państwo,

Mamy mówić o zadaniach Akcji Katolickiej wobec znaków czasu. Dlatego na początku trzeba wyjaśnić, co rozumiemy przez znaki czasu. A jeśli postrzegamy posługę Akcji Katolickiej jako służbę w Kościele, to trzeba jeszcze wyjaśnić, co to znaczy teologia znaków czasu. Otóż znaki czasu to zjawiska, które z racji upowszechnienia i częstotliwości charakteryzują daną epokę, a także wyrażają aspirację i potrzeby ludzkie.

Natomiast teologia znaków czasu to refleksja o charakterze teologiczno-pastoralnym zajmująca się współczesnymi i specyficznymi zjawiskami społecznymi, które Kościół Chrystusowy ma obowiązek badać i wyjaśniać w świetle Ewangelii po to, by w sposób dostosowany do mentalności każdego pokolenia odpowiadać na jego podstawowe pytania.

Umieć widzieć rzeczy, potrzeby i sprawy przez pryzmat Ewangelii. Akcja Katolicka nie jest strażą pożarną

ani karetką pogotowia, ale ludźmi, którzy na potrzeby świata odpowiadają logiką Boga.

Dziś wszyscy się spieszą. Dla człowieka Kościoła istnieje nowa miara czasu. Owszem wszyscy jesteśmy uzależnieni od świata kalendarzowego, od czasu fizycznego. Niekiedy ten czas zegarowy biegnie, że biegniemy, nie żyjąc. Następuje nieraz wyobcowanie od czasu Bożego. Obok czasu zegarowego istnieje jeszcze inny czas, kairos – czas zbawczy.

Nowa miara czasu – czas łaski.

Jest różnica pomiędzy czasem zegarowym a kairosem.

Spieszyć się, aby zbawić – jedyny pospiech, który można usprawiedliwić.

Członek Akcji Katolickiej jest osobą czytającą znaki czasu w logice łaski, a nie tylko zaradzaniu bieżących spraw.

To pierwsze, moim zdaniem, ważne zadanie dla Akcji Katolickiej.

Drugie zadanie dotyczy sposobu działania.

Jeśli badanie znaków czasu ma nam pomóc w znalezieniu nowych sposobów duszpasterskich właściwych dla współczesnego człowieka, to zastanawiające jest stwierdzenie Papieża Benedykta XVI, który mówi: „Ten, Który przyszedł, jest wciąż Przychodzącym". Ale zdaniem papieża „Ten Przychodzący" bywa przedstawiany za pomocą prawdziwych, ale zarazem przestarzałych formuł. W kontekście naszego życia one już nie przemawiają i zdarza się, że nie są już dla nas zrozumiałe. Wówczas Przychodzący albo staje się pusty i pozbawiony treści, albo w fałszywy sposób bywa przedstawiany ogólnie jako moralny topos, z którego nic nie wynika. Dlatego musimy, zdaniem papieża, spróbować wypowiadać tę rzeczywistość w nowy

sposób. Może się to udać tylko wtedy, gdy ludzie będą żyli Przychodzącym.

Zaryzykować można tezę, że zmiana samej tylko formy ewangelizacji może być niebezpieczna. Dlaczego? Widzimy, że z wiarą w Europie jest źle. Ludzie są nawet szczęśliwi, opuszczając Kościół. W Europie rodzi się nowy ruch wyzwalający od Kościoła. Ruch wyzwalający od religii chrześcijańskiej. Tak więc musieliśmy zrobić coś, co tak bardzo uderzyło w człowieka, że nabawił się on „alergii" na Kościół. Co więcej, im bardziej dany kraj był katolicki, tym ta reakcja jest drastyczniejsza. To wcale nie następuje powoli. Procesy te są bardzo szybkie.

Co się więc stało? Wydaje się, że nastąpiła ideologizacja naszej wiary. Z wiary uczyniliśmy system doktrynalny, pewną filozofię, którą chcieliśmy narzucić. Na płaszczyźnie wiary nie nastąpiło zatem przylgnięcie do Boga. Zarządzaliśmy wiarą, ale bez przylgnięcia do Miłości Odwiecznej. Głoszonym ideom nie towarzyszył przykład życia. Poza tym przestaliśmy mówić językiem religijnym, przekaz sprowadzając do problemów psychologicznych i socjologicznych.

Umieć wypowiedzieć swoją wiarę, która jest moim życiem, to dziś sprawa podstawowa w ewangelizacji. Gdy Chrystus przychodzi z wnętrza egzystencji, wówczas możliwy jest On do przetłumaczenia w taki sposób, aby mógł być obecny w przestrzeni zsekularyzowanego świata.

Do czego skłania nas ta refleksja?

Do odwagi spojrzenia na dwie sprawy w posłudze Akcji Katolickiej.

Pierwsza z nich to rewizja formy, rewizja sposobu posługi Akcji Katolickiej. To, co legło u podstaw jej powstania, a nawet to, co było ważne kilka lat temu w Polsce, dziś już nie oddziałuje, nie pociąga, gdyż nastąpiła od

tamtego czasu zbyt duża zmiana mentalnościowa, społeczna i eklezjalna.

Stare, sprawdzone metody w nowym świecie domagają się zmiany. Owszem, charyzmat Akcji Katolickiej może być czymś trwałym, niezmiennym, ale sposoby jego realizacji dziś nie są adekwatne do rzeczywistości. Oczywiście można się zdecydować na większą aktywność, ale po co?

W zachęcie do nowego działania na rzecz ewangelizacji Benedykt XVI przestrzega przed popadaniem w nadaktywność. Jakby mocy oddziaływania upatrywał gdzie indziej niż tylko w ilości podejmowanych inicjatyw duszpasterskich. Jest tak wiele do zrobienia, że można by było bezustannie działać. A to właśnie jest błędem. Nie popadać w aktywizm oznacza zachować *consideratio*, perspektywy, ogląd, dogłębne spojrzenie, czas wewnętrznego bycia z Bogiem, aby z Nim i poprzez Niego sprawy rozważać, dostrzegać je i radzić sobie z nimi.

Naszą misją jest życie wiarą, głoszenie jej, a zarazem utrzymanie wewnętrznej łączności z Bogiem.

To wewnętrzne utrzymanie łączności z Bogiem inspiruje mnie do podpowiedzi kolejnego zadania dla Akcji Katolickiej, ale i dla każdego z nas osobiście. Chodzi mi o wrażliwość na działanie łaski Bożej i jej przyjmowanie. Często żyjemy albo przeszłością, albo przyszłością, a życie dzieje się teraz. Uchwycić moment, w którym żyjemy, który się właśnie dzieje.

Kairos – chwila, moment, punkt.

W świątyniach poświęconych bogowi czasu, czyli Chronosowi, Grecy przedstawiali *kairos* jako młodzieńca – urodziwego, ale łysego, jedynie z niewielką kępką włosów na czole. Chcieli w ten sposób podkreślić, że *kairos* wymaga czujności i uwagi. Można go schwytać jedynie zawczasu. Kiedy cię minie, nie ma go już za co złapać.

Moment się dzieje.

Łaska jest dana na czas stosowny – *kairos* właśnie. Ile jest zaniedbań w przyjęciu łaski. Nasze powolne analizy, projekty, idą często obok *kairos* – a i tak najczęściej za późno.

Moment się dzieje. Akcja Katolicka się dzieje. To nie jest archiwum, to jest ciągłe wydarzanie się Kościoła.

Moment się dzieje. Kościół się wydarza.

Co sprawia, że nasz *kairos* jest zaniedbywany?

W Trzęsaczu, niewielkiej nadmorskiej miejscowości leżącej w okolicach Kołobrzegu, stoi fragment ściany kościoła wybudowanego na przełomie XIV i XV wieku. Kiedy go wznoszono, do morza było ponad 2 km. Z czasem jednak woda zabierała, wykradała uprawiane treny. Ludzie patrzyli, jak szalejące fale z każdym rokiem zbliżały się do wioski. Do morza było coraz bliżej. Potem z dwóch kilometrów zrobiło się kilkaset metrów. Nadal to zjawisko obserwowano, dyskutowano, jak mu zaradzić, i rozkładano bezradnie ręce. Kiedy morze zbliżyło się na odległość 60 metrów, w Trzęsaczu odprawiono ostatnie nabożeństwo, kościół zamknięto, a po kilku miesiącach woda zabrała boczną ścianę świątyni. Dziś zachował się jedynie fragment południowej ściany, czyli tej znajdującej się pierwotnie najdalej od linii brzegowej. Kilka lat temu umocniono klif, zabezpieczono ruiny, które obecnie stały się atrakcją turystyczną. Kiedyś to był Dom Boży – śpiewano w nim psalmy, głoszono Ewangelię, szeptano modlitwy. Dziś tablica przy kościele informuje, że jest to jedyna tego typu ruina w Europie.

Przywołałem tę prawdziwą historię z nadmorskiej miejscowości, aby zadać pytanie: A co my robimy w tej sytuacji? Czy nie zachowujemy się podobnie jak ludzie w Trzęsaczu? Czy nie patrzymy, kiwamy głowami, narzekamy, rozkładamy ręce, mówiąc – cóż począć?! Bezradność duchowa, paraliż woli produkują słowa, które nic

nie znaczą wobec zalewającej fali brutalnie powalającej ściany gmachu, jakim jest Kościół. Widzimy nadchodzące niebezpieczeństwo, analizujemy socjologicznie, omawiamy na konferencjach, opisujemy w publikacjach, a tymczasem żywioł nieubłaganie zabiera coraz większe obszary.

Kościół w niebezpieczeństwie bezradnych ludzi.

Znaki czasu młodego Kościoła

Młode pokolenie Polaków to ludzie zasadniczo dobrze wykształceni, znający języki obce, jeżdżący po świecie. Jak sami mówią, Europa jest ich domem. To nie jest pokolenie ludzi zakompleksionych, wycofanych. Oni znają swoją wartość. Wielu studiuje na zagranicznych uczelniach – nie tylko w Europie. Pracują w międzynarodowych korporacjach, mieszkają w różnych krajach, a na święta wracają do swoich. To duży potencjał narodu.

Jednak w ostatnim czasie obserwuje się, że młodzi z Kościoła jakby wyszli. Nie chodzi nawet o to, że są przeciw, ale o to, że Kościół ich raczej nie interesuje, nie jest dla nich wartością.

Dzisiaj o tym, że coś jest wartością albo nie jest, nie decyduje już obiektywna prawda, ale to, w jaki sposób to coś zostało przedstawione. Jeśli jest użyteczne, przydatne, to przyjmuje się to jako wartość.

Wielu duszpasterzy wyznaje zasadę, że jeśli coś jest prawdziwe, to będzie działać. Nie przejmujmy się, róbmy swoje, bo Ewangelia jest skarbem.

A młodzi mają odwrotną zasadę: jeżeli coś działa, to jest prawdziwe. W ich odbiorze często Ewangelia nie jawi się jako prawdziwa, bo nie jest użyteczna do życia. I tu jest miejsce rozejścia.

Jacek Kaczmarski, mówiąc o formie wyrazu swojej poezji, powiedział piękne zdanie: „Nie wystarczy posiąść

prawdę, trzeba jeszcze wiedzieć, co z nią zrobić". I to jest zadanie dla współczesnego Kościoła.

Ale jest jeszcze inna strona tej samej młodzieży. I to też jest znakiem czasów. Chodzi o postępującą unifikację młodych ludzi.

„Wszyscy rodzą się jako oryginały, ale wielu umiera jako fotokopie" – tak przed laty pewien włoski dziennikarz rozpoczął swój artykuł o młodym Słudze Bożym Carlo Acutisie. Oryginał to oryginał. Intrygujący, niepowtarzalny, ciekawa osobowość.

Józef Baran, analizując współczesnego młodego człowieka, poetycko opisuje go tak:

Współczesny człowiek to second hand
Nic własnego
Wszystko z drugiej ręki
Cudze gesty sądy
Poglądy
Bycie sobą
Wymaga wyrzeczeń
Jak drogocenne arcydzieło
Małpiarstwo – za ćwierć darmo
I tak z roku na rok
Świecąc odbitym światłem wyzbywasz się siebie

Globalny człowiek, globalne myśli, globalna moda. Fotokopie chodzą po ulicach – gdzie nie spojrzysz, te same opinie, stroje, drinki i hamburgery. Płowieje oryginał, świat się spłaszcza i trywializuje. Zapanował globalny letarg.

Ojcowie Kościoła przestrzegali przed człowiekiem z dwoma duszami. Taki człowiek nigdy nie potrafi powiedzieć zdecydowanie **„tak"** lub zdecydowanie **„nie"**. Człowiek z dwoma duszami zawsze chce być po obu stronach.

Jak to się dzisiaj mówi: chce mieć ciastko i zjeść ciastko. Jest niezdecydowany i wewnętrznie podzielony. To jest znak czasu.

I takie pokolenie młodych ludzi żyje w Polsce.

Spróbujmy się więc przyjrzeć duszy młodego człowieka. Jest ona szarpana różnymi tęsknotami.

Pierwsza z nich to tęsknota nihilizmu: niczego nie pragnę, niczego nie oczekuję, zadawalam się popijanym drinkiem, lekkim narkotykiem i zabawą.

Druga to utopia: tęsknota do stworzenia sobie takiego stanu, w którym nie trzeba wybierać i podejmować decyzji. Niech ktoś za mnie podejmie decyzję, niech los zadecyduje. A przecież ciężar życia składa się z podejmowania decyzji i brania za nie odpowiedzialności. W młodości wygrywa się lub przegrywa życie. Młodość jest czasem decyzji. A widzimy, jak młodzi uciekają od decyzji poważnych: o małżeństwie, o powołaniu. Obrazem nowej generacji jest człowiek bezdecyzyjny.

Kolejna rzecz to sztuczne nadmuchiwanie możliwości. Wmawia się młodemu człowiekowi, że ma on wielkie możliwości, że każdy z nich jest genialny, każdy może zrobić karierę. Tak produkuje się społecznych frustratów. Przecież nie wszyscy są zdolni, nie wszyscy mają jednakowe możliwości. Dojrzałość człowieka polega na stawianiu sobie granic na miarę swoich możliwości.

Kolejną rzeczą, na którą chciałem zwrócić uwagę, jest zanik relacji z innymi. Spójrzmy na ludzi w autobusie czy tramwaju – prawie każdy trzyma w ręku telefon. Na szkolnych przerwach młodzież już ze sobą prawie nie rozmawia – wszyscy wpatrzeni w ekrany swoich smartfonów. Terapeuci mówią o znaczącym wzroście liczby młodych pacjentów skarżących się na osamotnienie. Czyż to nie paradoks? Relacje z tysiącami znajomych i nieznajomych,

wszechobecni followersi, nieustanne lajkowanie, czatowanie, a w sumie samotność. Zamieszkali na portalach społecznościowych i wyprowadzili się od siebie.

Samotność to nie tyle sytuacja życiowa, ile stan ducha, niezależny od otoczenia. Samotność nam się rozpanoszyła, bo człowiek sam sobie stał się obcy. Zerwał wewnętrzną nić porozumienia serca i ducha. Zarzucił dialog ze sobą. Otworzył się na zgiełk, na pęd po arteriach życia i nieustanne, kompulsywne klikanie w ekran.

Ważną kwestią jest dziś sprawa wolności. Tę wartość bardzo cenimy, ale często nie umiemy nią żyć. Mam tu na myśli zarówno wolność zewnętrzną, jak i wolność wewnętrzną.

Wolność kojarzy nam się z samowolą, z robieniem tego, co się chce. To prawda, że wolność jest horyzontem bez granic. Ale odpowiedzialna wolność sama wytycza sobie granice. A tą granicą jest wolność drugiego człowieka.

Jeśli chodzi o wolność wewnętrzną, to też sam kreślę granicę, która zabezpiecza moją godność. Trudna to sprawa. Pewien poeta pisze o tym tak:

Żadnych barier na urwistym klifie.
Sam muszę się z klifem dogadać
Gdzie są nasze granice

Bez odpowiedzialnej wolności stajemy się niewolnikami. Znakiem czasu jest nowa forma uzależnienia.

* * *

Warto zwrócić uwagę, że znaki to jeszcze nie fakt. One mogą się zmieniać. Podobnie jest z chmurami na nieboskłonie. One nie są zamocowane na stałe. Przegania je wiatr, rozświetla słońce. I te groźne, ciężkie, czarne rozchodzą się, ustępują. A nad nami widać pogodne niebo.

Tak bywa ze znakami czasu. One nie są na stałe. Co prawda, mogą stać się faktem, cechą charakterystyczną epoki, ale nie muszą.

Wyparte nowymi prądami, ustępują – w ich miejsce przychodzą nowe.

Dlatego myśląc o znakach czasu, trzeba mieć dystans, a gdy o nich mówimy to ostrożnie, aby nie stygmatyzować czasu, epoki czy kraju.

Jednak obowiązkiem jest je rozpoznawać i o nich mówić.

I na koniec jeszcze jedno.

Ecclesia jest naszą matką. Nie można jej pozostawić samej.

James Whistler wśród wielu wspaniałych obrazów namalował portret matki. Jest to najpiękniejszy obraz w jego twórczości malarskiej. Zanim przystąpił do jego malowania, poprosił mamę, aby mu pozowała. Lecz ona nie chciała się zgodzić. Mówiła: jestem starą kobietą, mam twarz pociętą zmarszczkami. Źle wyglądam. Nie nadaję się do pozowania.

„Dla tego, kto cię kocha, pozostajesz najpiękniejszą" – odpowiedział James Whistler mamie. „Pozwól się więc namalować. Będę cię malował sercem". I tak powstał obraz pięknej kobiety. Portret malowany sercem.

Nasza Matka, Kościół, też jest podmęczona. Może nawet pomarszczona. Ale można z niej uczynić „piękną Panią i Matkę" – tylko trzeba malować ją sercem.

Matka-Kościół, potrzebuje, aby ją kochać. Bo tylko w klimacie miłości możne nam wypięknieć.